

Narzucające się pytanie brzmi zatem w największym skrócie tak: czy kultura umysłowa oraz podstawowa dyspozycja intelektualna były więźniowi obozu pomocne w decydujących momentach? Czy ułatwiały mu przetrwanie? Kiedy zadałem sobie to pytanie, nie przyszła mi początkowo do głowy moja własna obozowa codzienność, tylko pewna piękna książka mojego holenderskiego przyjaciela i towarzysza niedoli, pisarza Nico Rosta<sup>6</sup>. Książka nazywa się „Goethe w Dachau”. Po latach znów wziąłem ją do ręki i przeczytałem tam zdania, które wydały mi się wręcz nierzeczywiste. No bo na przykład jest tam napisane: „Właściwie chciałem dziś rano kontynuować moje zapiski na temat *Hyperiona*”<sup>7</sup>. Albo: „Znów czytałem o Majmonidesie, o jego wpływie na Alberta Wielkiego, Tomasza z Akwinu, Dunsza Szkota”. Albo: „Starałem się dzisiaj, w czasie alarmu lotniczego, ponownie rozmyślać o Herderze”. A potem, całkowicie zaskakująco dla mnie: „Jeszcze więcej czytać, jeszcze więcej i intensywniej studiować. W każdej wolnej chwili! Literatura klasyczna zamiast paczek z Czerwonego Krzyża”. Kiedy zacząłem się zastanawiać nad tymi zdaniami i konfrontować je z moimi własnymi wspomnieniami obozowymi, czułem głębokie zawstydzenie, nie mam bowiem nic, co mogłoby się równać godnej

---

<sup>6</sup> Nico Rost (1896–1967) — holenderski pisarz i dziennikarz, aktywny antyfaszysta.

<sup>7</sup> *Hyperion* — liryczna powieść epistolarna Friedricha Hölderlina.

podziwu, radykalnie intelektualnej postawie Nico Rosta. Nie, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że nie czytywałbym nic o Majmonidesie, nawet gdyby w ręce wpadła mi, co w Auschwitz było raczej nie do pomyślenia, odpowiednia książka na ten temat. Z pewnością też nie podjąłbym w czasie nalotu najmniejszej próby myślenia o Herderze. Propozycję ewentualnego przyjęcia literatury klasycznej zamiast paczki z Czerwonego Krzyża odrzuciłbym bardziej z rozpaczą niż z szyderstwem. Jak już powiedziałem, wstydziłem się bardzo, czytając książkę mojego towarzysza niedoli z Dachau, aż w końcu udało mi się jakoś uwolnić od poczucia winy. Pewnie nawet brałem przy tej okazji pod uwagę nie tyle fakt, że Nico Rost miał w obozie stosunkowo uprzywilejowaną pozycję pielęgniarza w szpitalnym baraku, podczas gdy ja sam należałem do anonimowej masy więźniów, ile raczej decydującą okoliczność, że Holender znajdował się w Dachau, a nie w Auschwitz. Te dwa obozy nie dają się tak łatwo sprowadzić do wspólnego mianownika.

Dachau było jednym z pierwszych nazistowskich obozów koncentracyjnych i dlatego też miało coś, co możemy nazwać tradycją. Obóz w Auschwitz powstał dopiero w roku 1940 i aż do samego końca podlegał improwizacjom podejmowanym z dnia na dzień. W Dachau wśród więźniów przeważał element polityczny, w Auschwitz natomiast przeważającą większość więźniów stanowili całkowicie apolityczni Żydzi oraz dość chwiejnie politycznie Polacy. W Dachau wewnętrzna administracja znajdo-

wała się głównie w rękach więźniów politycznych, w Auschwitz ton nadawali niemieccy zawodowi kryminaliści. W Dachau istniała obozowa biblioteka, w Auschwitz książka była dla zwykłego więźnia czymś niewyobrażalnym. Zasadniczo w Dachau — podobnie jak w Buchenwaldzie — więźniowie mieli możliwość przeciwstawienia esesmańskiemu państwu, esesmańskiej strukturze, swojej własnej struktury intelektualnej: tym samym więc umysł spełniał tam funkcję społeczną, jakkolwiek była ona w istotnej mierze przejawem politycznym, religijnym, ideologicznym i tylko w niezwykle rzadkich wypadkach, jak właśnie u Nico Rosta, także filozoficznym i estetycznym. W Auschwitz natomiast człowiek umysłu był izolowany, zdany całkowicie na siebie. Dlatego więc problem zetknięcia się intelektu i zgrozy występował tam w znacznie bardziej radykalnej i — jeśli takie sformułowanie jest tutaj w ogóle uprawnione — czystszej formie. W Auschwitz umysł był bowiem tylko sobą samym i nie istniała najmniejsza szansa wmontowania go w jakąkolwiek, nawet nie wiadomo jak niedoskonałą i nie wiadomo jak ukrytą strukturę społeczną. Intelektualista stał zatem samotnie ze swoim umysłem, który był tylko i wyłącznie czystą zawartością świadomości i nie miał możliwości podparcia się i wzmocnienia jakąś społeczną rzeczywistością. Przykłady, jakie można tutaj podać, są po części trywialne, po części zaś trzeba by zaczerpnąć je z tych rejonów istnienia, które tylko z najwyższym trudem daje się zwerbalizować.

Intelektualista bezustannie szukał, przynajmniej jeszcze na początku, jakiejś możliwości społecznej manifestacji umysłu. Na przykład w rozmowie z sąsiadem z pryczy, który rozwlekłe opowiadał o jadłospisie swojej żony, miał wielką ochotę przemycić stwierdzenie, że on sam, będąc w domu, bardzo dużo czytał. Kiedy jednak po raz trzydziesty słyszał w odpowiedzi: „kurwa, człowieku”, dawał sobie spokój. I tak stopniowo wszystko, co intelektualne, przybrało w Auschwitz podwójnie nowy kształt: z jednej strony, psychologicznie rzecz ujmując, stało się czymś całkowicie nierealnym, z drugiej zaś — jeśliby zdefiniować to z użyciem pojęć społecznych — czymś w rodzaju niedozwolonego luksusu. Niekiedy przeżywało się te nowe fakty na poziomie głębszym niż ten, na którym operowało się w czasie rozmów na pryczy: wówczas umysł nagle zupełnie tracił swoją podstawową jakość, mianowicie transcendencję.

Przypominam sobie pewien zimowy wieczór, kiedy wracając po pracy z terenu IG-Farben, nierównym krokiem wlekliśmy się z powrotem do obozu przy wtórze irytującego „raz, dwa, lewa” kapo, a mnie rzuciła się w oczy flaga powiewająca z Bóg wie jakiego powodu na niegotowych jeszcze budynkach. „Mury stoją oniemiale z zimna, na wietrze szcękają chorągwie”<sup>8</sup> — wymamrotałem machinalnie pod nosem w pierwszym skojarze-

---

<sup>8</sup> Cytat z wiersza *Połowa życia*, w: Hölderlin F., *Wiersze*, przeł. Bernard Antochewicz, Wrocław 1982, s. 67.

niu. Potem powtórzyłem tę strofę nieco głośniej, wsłuchiwałem się w brzmienie słów, próbowałem wczuć się w rytm i spodziewałem się, że pojawi się we mnie związany dla mnie od lat z tym wierszem Hölderlina emocjonalny i intelektualny model odczuć. Nic. Wiersz nie transcendował już rzeczywistości. Po prostu był i stanowił jedynie rzeczową wypowiedź: jest tak a tak, kapo ryczy: „lewa”, zupa była cienka, a na wietrze szczękają chorągwie. Być może dawne, zakonserwowane w psychicznej glebie hölderlinowskie odczucie pojawiłoby się jeszcze, gdybym miał jakiegoś choćby w przybliżeniu podobnie odczuwającego towarzysza niedoli, któremu mógłbym tę strofę zacytować. Najgorsze było to, że nie było żadnego dobrego przyjaciela, nie było go w szeregach komanda — a gdzie go szukać w całym obozie? Gdyby jednak nawet udało się go skądś wygrzebać, to wskutek własnej izolacji byłby tak daleki od spraw umysłu, że już by nawet nie zareagował. Przypomina mi się tutaj spotkanie ze znanym filozofem z Paryża, który znalazł się w obozie. Dowiedziałem się o jego obecności i nie bez trudu i niebezpieczeństw odwiedziłem go w jego bloku. Filozof z Sorbony odpowiadał mechanicznie monosylabami, by na koniec zupełnie zamilknąć. „Otępienie”? Nic podobnego. Ten człowiek nie był otępiały, tak jak i ja nie byłem. On po prostu nie wierzył już w rzeczywistość świata umysłu i odmówił uczestnictwa w intelektualnej grze językowej, która nie miała tutaj najmniejszego społecznego odniesienia.

Szczególny charakter miał ten problem w kontekście funkcji czy raczej braku funkcji umysłu dla żydowskiego intelektualisty z niemieckim zapleczem edukacyjnym. Do czegokolwiek próbował się odwołać, należało nie do niego, tylko do wroga. Beethoven. Ale Beethovena dyrygował w Berlinie Furtwängler, a Furtwängler był szanowaną oficjalną osobistością III Rzeszy. Na temat Novalisa pisały artykuły w nazistowskim „Völkischer Beobachter”<sup>9</sup>, które w dodatku niekiedy wcale nie były takie głupie. Nietzsche był własnością nie tylko Hitlera, z czym można by sobie jeszcze poradzić, ale też sympatyzującego z nazistami liryka Ernsta Bertrama<sup>10</sup>; on go rozumiał. Od *Zakłęt Merseburskich*<sup>11</sup> po Gottfrieda Benna<sup>12</sup>, od Buxtehudego<sup>13</sup> po Richarda Straussa, wszystkie intelektualne i estetyczne dobra przeszły bezsprzecznie i niezaprzeczalnie we władanie wroga. Jeden z towarzyszy niedoli zapytany kiedyś w obozie o zawód, nieopatrznie odpowiedział zgodnie z prawdą, że jest germanistą, co wywołało morderczy wybuch wściekłości pytającego esesmana. Mniej więcej w tych samych dniach, jak

---

<sup>9</sup> „Völkischer Beobachter” — od 1920 r. organ prasowy NSDAP.

<sup>10</sup> Ernst Bertram (1884–1957) — niemiecki humanista i poeta.

<sup>11</sup> *Zakłęcia Merseburskie* — jedyne zachowane pisemne świadectwo germańskiej kultury pogańskiej.

<sup>12</sup> Gottfried Benn (1886–1956) — wybitny poeta niemieckiego ekspresjonizmu, lekarz i eseista.

<sup>13</sup> Dietrich Buxtehude (1637–1707) — duńsko-niemiecki organista i kompozytor barokowy; jako wirtuoz organów był między innymi mistrzem J.S. Bacha.

mi się wydaje, Tomasz Mann powiedział za oceanem: „Gdzie jestem ja, tam jest niemiecka kultura”<sup>14</sup>. Niemiecko-żydowski więzień Auschwitz nie mógłby wypowiedzieć tak śmiałego twierdzenia, nawet gdyby przypadkiem nazywał się Tomasz Mann. Nie mógłby zareklamować niemieckiej kultury jako swej wyłącznej własności, ponieważ jego roszczenie nie miałoby najmniejszego społecznego uzasadnienia. Na emigracji mikroskopijna mniejszość mogła ukonstytuować się jako niemiecka kultura, nawet gdyby nie należał do niej Tomasz Mann. W Auschwitz natomiast odizolowana jednostka musiała odstępować całą niemiecką kulturę razem z Dürerem, Gryphiusem i Traklem najostatniejszemu nawet esesmanowi.

Nawet jednak jeśli udawało się czasem zbudować naiwne i dyskusyjne złudzenie o „złych” i „dobrych” Niemczech, o marnym Thoraku<sup>15</sup>, który może sobie należeć do Hitlera, i wielkim Tilmanie Riemenschneiderze<sup>16</sup>, któremu narzucało się swoją solidarność — nawet wówczas koniec końców intelekt zawodził wobec rzeczywistości. Powody są rozmaite i trudno je na początek rozgraniczyć, by

---

<sup>14</sup> Strawestowane słowa Tomasza Manna z wywiadu dla „The New York Times” wydrukowanego 22 lutego 1938 r.: „Where I am, there is Germany. I carry my German culture in me”.

<sup>15</sup> Josef Thorak (1889–1952) — rzeźbiarz austriacki, ulubiony artysta hitlerowskiej III Rzeszy.

<sup>16</sup> Tilman Riemenschneider (1460–1531) — jeden z najwybitniejszych niemieckich drzeworytników i rzeźbiarzy przełomu gotyku i renesansu.

potem dokonać ich należytej syntezy. Będę abstrahował od tych czysto fizycznych, jakkolwiek w zasadzie nie wiem, czy tak można, albowiem każdy więzień obozu znajdował się pod władzą swej mniejszej bądź większej cielesnej wytrzymałości. Jasne jest w każdym razie, że kwestia oddziaływania umysłu nie może zostać postawiona tam, gdzie podmiot, znajdujący się bezpośrednio na granicy śmierci głodowej i śmierci z wyczerpania, jest już nie tylko „odumysłowiony”, lecz także we właściwym sensie tego słowa odczłowieczony. Tak zwany „muzułman”, jak w żargonie obozowym nazywało się więźnia, który poddał się rezygnacji i z którego zrezygnowali też towarzysze niedoli, nie dysponował już żadną przestrzenią świadomości, w której mogłaby zachodzić konfrontacja dobrego ze złym, szlachetnego z podłym, intelektualnego z nieintelektualnym. Był on po prostu ledwie trzymającym się na chwiejnych nogach trupem, kłębkim fizycznych funkcji w ich ostatnich podrygach. Choć czynimy to z ciężkim sercem, to jednak musimy wyłączyć go z naszych rozważań. Mogę wyjść tylko i wyłącznie od mojej własnej sytuacji, sytuacji więźnia, który głodował, ale nie był zagłodzony, którego bito, ale którego jeszcze nie zabito, który miał na ciele rany, ale nie śmiertelne, a więc takiego, który obiektywnie rzecz biorąc miał jeszcze w sobie ów substrat, na którym w zasadzie może jeszcze trwać i przetrwać umysł. Smutna prawda jest jednak taka, że trwał na bardzo słabych nogach, a i z przetrwaniem miał trudności. O tym, że estetyczne ciągi

skojarzeniowe i reminiscencje zawiodły bądź też pozostawały bez jakiegokolwiek skutku, wspominałem już ogólnie wcześniej. Najczęściej nie były żadnym pocieszeniem, niekiedy okazywały się bólem lub szyderstwem; zazwyczaj jednak rozpraszały się w poczuciu całkowitej indyferencji.

Oczywiście bywały wyjątki, mianowicie w pewnych określonych stanach odurzenia. Przypominam sobie, jak pewnego razu pielęgniarz z któregoś ze szpitalnych baraków ofiarował mi talerz słodzonego grysiku, który pochłonąłem łąpczywie, wpadając w stan nadzwyczajnej euforii umysłu. Z głębokim wzruszeniem pomyślałem początkowo o fenomenie ludzkiego dobra. Do tego dołączyło wyobrażenie dzielnego Joachima Ziemßena z *Czarodziejskiej góry* Tomasza Manna. Aż wreszcie moja świadomość chaotycznie napełniła się po brzegi strzępami różnych książek, okruciami zasłyszanej muzyki, własnymi, jak mi się wydawało, filozoficznymi myślami. Owładnęło mną szaleńcze pragnienie intelektualnych doznań, któremu towarzyszyło przeraźliwe współczucie dla samego siebie, tak że z oczu popłynęły mi łzy. Niemniej jednak w tej warstwie świadomości, która była nieknięta odurzeniem, pozostałem w pełni świadomy fałszywego charakteru tej trwającej zaledwie kilka minut intelektualnej ekstazy. Był to prawdziwy, wywołany przez fizyczny bodziec stan upojenia. Prowadzone później rozmowy z towarzyszami niedoli pozwalają mi wnioskować, że wcale nie byłem jedynym, który w takich okolicznościach

przeżył krótkotrwałe podniesienie na duchu. Tego rodzaju stany odurzenia występowały często także u moich towarzyszy, czy to przy jedzeniu, czy przy tak niezwykle w tamtych warunkach czynności, jak zaciąganie się papierosem. Jak wszystkie stany odurzenia pozostawiały one po sobie przykre, podobne do kaca uczucie pustki i wstydu. Stany te były do głębi fałszywe, bardzo trudno czymś takim umocnić się duchowo. Bo przecież estetyczne wyobrażenie i wszystko, co może mu towarzyszyć, zapełnia jedynie bardzo ograniczoną i wcale nie najważniejszą przestrzeń w gospodarstwie człowieka umysłu. Znacznie istotniejsze jest myślenie analityczne: to od niego można oczekiwać, że wobec okropności będzie zarazem podporą i drogowskazem.

Ale i w tej kwestii zdarzają się i zdarzały rozczarowujące bilanse. Racjonalno-analityczne myślenie było w obozie, a zwłaszcza w Auschwitz, nie tylko wątpliwą pomocą, ale wręcz prowadziło prostą drogą do tragicznej dialektyki samozagłady. Bardzo łatwo unaocznic, co mam na myśli. Przede wszystkim człowiek umysłu nie przyjmował tej niewyobrażalnej sytuacji tak po prostu do wiadomości, jak inni. Długi trening w podawaniu w wątpliwość zjawisk rzeczywistości dnia powszedniego nie pozwalał mu tak po prostu zgodzić się na obozową codzienność, stała ona bowiem w na- zbyt brutalnym przeciwieństwie do wszystkiego, co uważał dotychczas za możliwe i czego w jego rozumieniu należałoby spodziewać się po człowieku.